

PODRÓŻE DALEKIE I BLISKIE

Małgorzata Anna Ciosmak

Islandia – kraj ognia i wody

Wyprawa do krainy ognia i wody rozpoczęła się wczesną jesienią 2014 r. Opuszczając lotnisko Okęcie na pokładzie Berlinair Boeing 737, nie widziałam za oknem nic. Gruba warstwa chmur pokrywała całą Polskę, a gdzieś tam padał deszcz. Do berlińskiego lotniska Tegel dotarliśmy jeszcze w środku dnia. Od momentu lądowania do następnego wzbijania się w powietrze miało upłynąć aż 8 godzin. Chociaż tego roku latem już byłam w Berlinie, nie mogłam sobie odmówić przyjemności ponownego odwiedzenia niektórych miejsc. Wybór padł na Muzeum Pergamońskie, słynące z eksponatów przywiezionych w XVIII wieku z terenów obecnej Syrii, dawnego Sumeru, Egiptu i innych terenów północnej Afryki. Poprzednia wizyta nie pozwoliła, aby bardziej przyjrzeć się szczegółom. Południowy posiłek skosztowałam w japońskiej restauracji „Sakura”, a potem wyruszyłam na zwiedzanie. Muzeum jest nie tylko sławne, ale i duże. Ogrom sal i wielość eksponatów robi niesamowite wrażenie. Po bilety kolejka liczona jest na dziesiątki metrów. Udało się jednak, i oczami, uszami, obiektywem aparatu fotograficznego łowiłam wszystkie cuda architektury, rzeźby, ceramiki, złotnictwa i innych dziedzin. Potem metro, odprawa na lotnisku i oczekiwanie na otwarcie bramki. Tak upłynął czas do odlotu.

Przedemną cztery godziny nocnego pokonywania odległości Berlin–Keflavik. Przez cały czas lotu pasażerowie mieli możliwość obserwowania, w którym miejscu trasy aktualnie się znajdujemy, na jakiej wysokości i z jaką prędkością odbywa się lot, jak daleko jeszcze do celu, jaka jest temperatura powietrza na zewnątrz samolotu i wiele innych informacji. Za oknem ciemna noc, obok chrapiący pasażer, a tuż za oknem dźwięk równej, niczym nie zakłóconej pracy silnika. Organizm przyzwyczajony do spoczynku około północy dawał znaki do snu, ale otoczenie temu nie sprzyjało. Włączyłam w tej sytuacji program „na przetrwanie” czyli zapaliłam małe źródło światła tuż nad głową i rozpoczęłam pisanie kroniki. Robię to już od kilkunastu lat obiecując, że jak tylko ukończę 80. rok życia, zbiorę wszystko w jedną całość i napiszę książkę pod tytułem *Z pamiętnika baby – inżynier* (tytuł już został zastrzeżony, aby nikt go nie wykorzystał przede mną). Oj, będzie o czym pisać.

Do rzeczy jednak. Samolot wylądował miękko na pasie w Keflaviku i dokołował do stanowiska, gdzie pasażerowie go opuszczali. Nie było to jednak takie standardowe. Już dolatując wszyscy wyglądali przez okno i z uwagą słuchali informacji, czy niedawno uaktywniony wulkan pozwoli nam wylądować, czy potem pozwoli nam wystartować i wrócić do Polski. Takie pytania i wątpliwości mieli wszyscy pasażerowie. Ten winowajca to Bardarbunga, stratowulkan odległy od lotniska o około 300 kilome-

trów, znajdujący się pod największym lodowcem Islandii Vatnajokul.

Islandia przywitała nas deszczem. O drugiej w nocy, kiedy każdy zazwyczaj śpi, a organizm działa wolniej, trudno było wydobyć z siebie ruch i energię. Perspektywa około 60-kilometrowej drogi nie nastrajała nas najlepiej. Zaraz po odebraniu bagaży, każdy zrobił niezbędne zakupy, aby kupując za dwa euro czekoladę uzyskać wydaną resztę w walucie islandzkiej. Potem biegiem do autokaru lotniskowego, który miał zawieźć nas następnie do Reykjavíku. Tu pierwsze spostrzeżenie: Islandczycy nie oszczędzają na cieple. W autokarze panowała iście tropikalna atmosfera. Niektórzy z nas, przygotowani na zimną pogodę, zdejmowali z siebie po kolei kurtki, swetry i... i nie było już co zdjąć. Wokół za oknem kompletna ciemność. To nie kontynentalna Europa, gdzie co kilkaset metrów albo co kilka kilometrów jest jakieś domostwo lub wioska. Tu jest tylko przyroda. Kiedy w oddali zauważalne były małe światełka, okazywało się, że to statki na zatoce. Jechaliśmy bez zatrzymywania się, bo też w szczerym polu nie było sensu postoju. Padał deszcz. Im bliżej było do stolicy, tym był bardziej intensywny. Dotarliśmy do zwartej zabudowy, najpierw Hafnafjörður, co przejawiało się w oświetleniu, zabudowaniach wzdłuż ulic i reklamach przydrożnych. Była już trzecia w nocy lokalnego czasu, gdy dotarliśmy do Hostel Village przy ulicy Flokagata 1 i 5. Prosto z drzwi w drzwi z bagażem. Tylko rzut oka na budynek przez strugi deszczu. To jednopiętrowy dom przypominający nasz polski domek jednorodzinny. Uprzedzeni wcześniej o naszej godzinie przybycia, pracownicy recepcji już czekali. Zaraz przyjęli od nas wpłatę i wydali klucze do pokoi. Mielśmy jednak jeszcze raz spotkanie z deszczem, który tym razem po prostu lał. Nasze pokoje były bowiem w innym budynku i należało przejść wzdłuż ulicy jakieś 50 metrów. Tu, po raz pierwszy na obcej ziemi, przydała się nieprzemakalna kurtka. Trzeba było jeszcze wejść na drugie piętro. Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłam, ale moje bagaże ważące co najmniej 20 kilogramów poniósł pracownik hostelu. Wtargał je też na drugie piętro, oddając z prześmiewczym uśmiechem i zabierając się za bagaż koleżanki, szczerze mówiąc nieomal większy od niej. Szukałam po zakamarkach kurtki euro, ale pracownik ulotnił się szybko. Była 4.00 w nocy. Zamieszkałam z trzema koleżankami w apartamencie, gdzie szczelnie żaluzje i kotary na oknach wyraźnie dawały sygnał, że latem to tu o ciemnej nocy nie ma mowy. Trzeba szczelnie zasłaniać okna, aby w ten sposób udawać noc. Ale wracając do realiów, wszystkim nagle zachciało się jeść. No to co, poszły w ruch konserwy i kanapki. W kuchence, takiej jak w domu, zagotowałyśmy wodę na herbatkę. Była jak

domowa. Jej ciepło zaczęło nas rozleniwiać i w ten sposób zagoniło do spania. Zasnęliśmy w drodze do poduszki. Rano, przed siódmą lokalnego czasu, wyrwał nas ze snu dzwonek budzika. Jak go wtedy lubiłam. Nie chciałam przegapić ani chwili w miejscu, gdzie nie wiadomo, czy jeszcze kiedyś będę. Rześkie powietrze na tarasie szybko przegoniło senne rozleniwienie. Słońce dopiero gramoliło się na firmament zza horyzontu. Szybko na śniadanie. Jajo, wędlinka, chlebek, bułeczka, musli, jogurek lokalnego wyrobu, tostowe pieczywo, i coś tam z owoców, ciastko. Wszystko smaczne i świeże. Obsługa z USA, bo tam kiepsko z zatrudnieniem. Kto by przypuszczał... Nagle poczuliśmy się jak w Polsce. – Skąd jesteście, dzień dobry! To z drugiego stolika doszedł nas dźwięk polszczyzny w czystym wydaniu. Pani Sylwia z Niemiec, ale pochodząca z Polski, powitała nas na tej obcej ziemi. W tym momencie nie była ona, ta ziemia, już taka obca. Krótka wymiana spostrzeżeń i obietnica spotkania wieczorem lub następnego dnia.

Teraz przyszła pora na zaplanowany program, a ściślej jego pierwszy punkt. Jedno z najprzyjemniejszych realizowanych zamierzeń czyli zwiedzanie miasta. Jak się należy przygotować do tego? Proste: w Islandii deszcze padają często poziomo. Konieczne jest odpowiednie ubranie, na przykład peleryna lub kurtka nieprzemakalna, spodnie przeciwdeszczowe, dobre turystyczne buty na wibracie, plecak aby ręce były wolne, może rękawice i coś na głowę, i można iść. Parasol można zostawić. Wiatry są dość silne i parasol może się połamać. Szybko każdy z nas ubrał się zgodnie z wytycznymi i na spacer wybraliśmy się całą grupą. Z wielką ciekawością rozglądaliśmy się wokół, łapiąc co się da w obiektywy aparatów fotograficznych.



Podgrzewane chodniki w stolicy Islandii

Chodnik jak nasz, ściany budynków i witryny sklepów jak nasze, roboty drogowe – niby jak nasze, ale jakby nieco inne. Tak, u nas pod chodnikami jedynymi rurociągami są przewody wodociągowe i kanalizacyjne, a także nieco kabli. Tu jednak układa się płataninę przewodów o niewielkich średnicach i z tworzyw sztucznych. Zawodowa ciekawość nie pozwoliła mi przejść obojętnie. Musiałam dokładnie przyjrzeć się wykopom. Zmontowane rury połączone do rozdzielacza prowadziły gorącą wodę, która parując wypływała do kanału. Ale sprytnie, kilkanaście

metrów dalej było rozwiązanie. Zasypane żwirem z lawy wulkanicznej przykrywane płytami chodnikowymi rury będą zimą rozmrażać śnieg i lód. Odpada dozorcóm odśnieżanie i sypanie piasku albo soli. No tak, ciepło jest tu za darmo – przemknęło przez myśl i zaraz wypadło z ust kolegi. Nie było jednak czasu na rozważania nad tym, jak to Islandczykom jest dobrze zimą. Zaraz trzeba było skrócić w lewo. Mijali nas ludzie, o dziwo ubrani jak my. I tylko ja wyróżniałam się czerwonym kolorem peleryny, którą szybko założyłam bo zaczęło padać. Na komentarze, że pada, kolega przytoczył powiedzonko islandzkie, które mówi, że jeśli ci się nie podoba w Islandii pogoda, to poczekaj pięć minut. Poczekaliśmy, a ja zwinęłam pelerynę i zdjęłam przeciwdeszczowe spodnie, pod którymi miałam legginsy. Tak doszliśmy do nadbrzeżnej promenady, znanej z wielu folderów o Reykjavíku. Cały brzeg to jeden ciąg ułożonych dużych czarnych porowatych kamieni wyglądających jak nasze pocziwe otoczaki rzeczne, tylko dużo większych. Co chwilę mijal nas ktoś na rowerze, jadąc po wyznaczonej w tym celu ścieżce – jak u nas. Choć to pora przedpołudniowa, chyba nie spieszył się za bardzo. Ruszyliśmy w stronę zachodnią, gdzie na końcu bulwaru zaciekała nas budowla cała zaszklona w ciekawy sposób. Zanim jednak dotarliśmy tam, po drodze daliśmy upust pasji fotografowania „Słonecznego Wędrowca”, jak nazywają stylizowaną na łódź Wikingów



Reykjavik – „Słoneczny Wędrowiec” – stylizowana łódź Wikingów

rzeźbę ze stali srebrzanki. Ustawiona została na specjalnie zaaranżowanym miejscu, gdzie w latach 70. z dna zatoki wydobyto dobrze zachowaną łódź, potwierdzającą kolonizowanie przed wiekami wyspy przez Wikingów. Z pewnością najazdy Normanów odbywały się tu wiele razy. Obsiedliśmy pomnik jak rój pszczół, rozbawieni jak przedszkolaki.

Wiało chłodnym wilgotnym powietrzem, ale nasz kolega Sławek, nazywany Dundee z racji charakterystycznego kapelusza, nie dał nam zmarznąć racząc nalewką z żeńszenia. Na Islandii zabronione jest spożywanie alkoholu, szczególnie publiczne, a można go kupić tylko w wyznaczonych sklepach. My o tym dowiedzieliśmy się dopiero, gdy nie tylko nasza grupa wychyliła po małym naparstku, ale i niemieccy turyści z autokaru, zachęceni

przez Sławka litującego się nad skwaśniałymi minami Niemców. Po chwili oni też się uśmiechali i z zadowoleniem mówili o skuteczności trunku. Rozstaliśmy się jak przyjaciele.

Chęć zdobywania kolejnych fotografii pchała nas dalej bulwarem w stronę budynku Opery, jak się po kilku miesiącach dowiedziałam zaprojektowanego i budowanego przez syna jednego z mieszkańców Lublina. Operę zlokalizowano nad samą wodą. Dwie z elewacji wiszą



Budynek Opery

nad wodą zatoki, do której wpływają statki. Port pasażerski towarowy i wojskowy, a także marina dla jachtów i łodzi motorowych, są tuż obok. Szklane elewacje o geometrycznych kształtach nocą są podświetlone w sposób zmieniający kolory. W długie polarne noce poprawia to humor mieszkańcom i gościom stolicy Islandii. Otoczenie obiektu zaprojektowano nowocześnie, wykorzystując lokalne wulkaniczne materiały w kolorze czarnym. Pomiedzy płytami nawierzchni wykonano zagłębienia, którymi stale płynie woda. Wnętrze również jest nowoczesne, przestrzenne i bardzo funkcjonalne. Po obejrzeniu Opery udaliśmy się do Starego Portu, a następnie do najstarszej, reprezentacyjnej dzielnicy Reykjavíku. Mijaliśmy wiele domów i uwagę naszą zwróciły ich elewacje. Wyglądały jak obłożone blachą falistą, jednak zazwyczaj były to listwy drewniane lub elementy cementowe. Pomalowane w żywe, pastelowe kolory sprawiały wrażenie wesołych domów i ich właścicieli. Kilkogodzinny spacer przepalił nasze śniadania i zaczęło się włączać ssanie. Czas było coś „przegryźć”. Wybór padł na restaurację w kamienicy dwupiętrowej, wyglądającej jak nasze europejskie secesyjne domy. Na attyce architekt umieścił symbol Gwiazdy Dawida, co niewątpliwie stanowiło znak rozpoznawczy. W menu specjalą kuchni islandzkiej i kontynentalnej. Wybrałam coś, co sprawiało z opisu wrażenie smakowitości, i tak było. Były to kulki mięsne z jagnięciny i jarzyny grillowane, a do tego chrupiące plasterki boczku, sosik i ogórek konserwowy. Do picia zaś piwo o wdzięcznie z polską brzmiącej nazwie Polon. Posileni wyruszyliśmy na dalszy „podbój” Reykjavíku. Za cel wzięliśmy najstarsze centrum miasta. Niespiesznie mijaliśmy zieleń z ławeczkami ogrodowymi i jednopiętrowym budynkiem w kolorze brunatno-grafitowym, jak



Budynek Parlamentu Islandii

kamienie lawowe. I byśmy przeszli nie zwracając uwagi, gdyby nie komentarz kolegi: „Wiecie, co to za dom? To Parlament Islandii!” – Nasze oczy, ze zdumienia, zmieniły w jednej chwili rozmiar na XXXL. Jednopiętrowy, niepozorny, mniejszy od otaczających budynków, wcale nie reprezentacyjny, w otoczeniu o wyglądzie bardziej piknikowym niż poważnym. No i ta liczba parlamentarzystów – 63! Tych trzech, jest członkami Partii Piratów. Nie żartuję, taką ma nazwę jedna z nich. To nie jedyne zadziwienie, jakie przeżywaliśmy na tej wulkanicznej wyspie na środku Atlantyku. Ale idziemy dalej. Kolejnym odwiedzonym miejscem okazał się budynek Urzędu Miasta. Nowoczesny, wyrastający wprost z wody jeziora i z opłukiwanymi wodą ścianami. Wewnątrz makieta Islandii i galeria sztuki rodzimej. Naszą uwagę przykuł obraz całkowicie wykonany z zabarwionej na czerwono wełny. Przed wejściem do budynku rzeźba urzędnika, który głowę i tułów ma utkwiony w kamieniu, zaś nogi



Reykjavík – skamieniały urzędnik przed budynkiem Urzędu Miasta

i ręka z aktówką swobodne. Czyżby satyra na urzędnika skamieniałego, skostniałego, rzecz by po prostu „betonu”? Pogoda jakby się ustaliła na jakiś czas, a my zawiedzeni, że umówiona osoba z urzędu, która miała nas zapoznać z miastem i zagadnieniami ochrony środowiska nagle wyjechała bez uprzedzenia do koleżanki w USA, poszliśmy dalej poznawać stolicę. No cóż każdy jakoś stopniuje ważność wydarzeń. Pewnie koleżanka była od nas ważniejsza. Po odwiedzeniu toalety, która była tu bezpłatna, poszliśmy sobie. Trakt główny w Reykjavíku prowadził do katedry ewangelickiej. Po drodze kolejne ciekawostki. Każdy sklep przed wejściem lub wewnątrz musiał być zaopatrzony w trolle. Choć Islandczycy to chrześcijanie, jednak na wszelki wypadek uważają złośliwe duchy, które lepiej potrzymać za nos, klepnąć po głowie lub przyjaźnie pogłaskać. Rozmiary trolli są różne, od kilku centymetrów, do kilku metrów. Postanowiłam złapać w obiektyw aparatu fotograficznego takie trolle. Kiedy obejrzałam potem zdjęcie, złapał mnie niepochamowany śmiech. Obok brzydnactwa stojącego przed sklepem właśnie przechodziła pewna Islandka. Jej uroda i postawa była identyczna jak trollki. Mijaliśmy wiele sklepów z regionalnymi i europejskimi wyrobami. Dużo było pamiątek, wyrobów z wełny i środków spożywczych, jak na kontynencie.



Trolle przed sklepem

Nie tracąc czasu na zakupy, doszliśmy do katedry. To wyjątkowy w Islandii obiekt i chyba najwyższy. Ma kształt jakby rakiety. Wewnątrz skromny, bez zbędnych przedmiotów i ozdób. Uwagę zwracały organy, ambona i strzelista jak gotycka architektura trzynawowej świątyni. Jediną rzeźbą figuralną była postać Chrystusa, cała z białego materiału – prawdopodobnie gipsu. Na zewnątrz zaczęło padać i mocno wiał wiatr. Pozapinani pod szyję i z kapturami na głowie postanowiliśmy zwiedzić jeszcze jedną z atrakcji. Jest to Perlan, dawna stacja wodociągów miejskich, gdzie ustawione obok siebie betonowe cylindryczne zbiorniki kiedyś gromadziły wodę z opadów, aby następnie dostarczyć ją do mieszkań i zakładów. Teraz jest tam restauracja, sklep z pamiątkami i punkt widokowy na cały Reykjavík. Ceny kosmiczne, więc nikt z nas nic nie kupił. Koszulka t-shirt bawełniana kosztowała tam 35 euro. Zaczęło się robić szaro, bo słońce, które i tak



Katedra ewangelicka w Reykjavíku

było nisko, już chowało się za horyzont. Kilka kilometrów piechotą i znaleźliśmy się na Flokagata 5. Wreszcie nogi mogły odpocząć, a my rozbawieni, przy herbatce urządziliśmy koncert pieśni biesiadnych, o których dużo mówili następnego dnia pracownicy hostelu, podziwiając temperament i repertuar trudny do powtórzenia dla Islandczyków. Tak upłynął pierwszy z dziesięciu dni niezwykle bogatych w przeżycia i atrakcje, ale także w poważne naukowe rozważania.

Ciąg dalszy nastąpi!



Panorama stolicy Islandii z Perlanu

Stanisław Niecko

Meksyk – piękno z bolesnym piętnem

W lutym 2014 r. podróżowałem po Meksyku. Ogrom oraz intensywność przeżyć wywołały potrzebę podzielenia się z czytelnikami naszego pisma chociażby częścią doznanych wrażeń. W najistotniejszej sferze są one wręcz nieopisywalne, jak to z wrażeniami bywa, ale też Meksyk jest krainą niezwykłą, magiczną, pełną olśniewającego, egzotycznego piękna.

Od zawsze pragnąłem tam pojechać. Moje pokolenie, zwłaszcza męskie, pamięta doskonale wspaniałe westerny z lat sześćdziesiątych, m.in. z Johnem Wayne, np. *Rio Bravo*, które rozgrywały się zawsze na zachodnio-południowym pograniczu USA, należącym wcześniej do Meksyku. Ten specyficzny, egzotyczny posmak, zaczarowanie przeżyte w młodości, a wywołane tymi filmami, pozostało na zawsze. Ponadto wciągała wyjątkowa, ogromnie dramatyczna historia tego kraju, kultura przedkolumbijska, Majowie, Aztekowie, podbój przez hiszpańskich konkwistadorów pod wodzą Corteza, powstanie nowego, metyskiego narodu o wielkiej żarliwości religijnej. Zagadką jest dla mnie ten naród powstały w spektakularny a okrutny, wręcz nienaturalny, sposób poprzez podbój i w dużej mierze zbrodnie. No i uroda Meksyku, jego tropikalna przyroda, niesłychana różnorodność kulturowa, zapierające dech w piersiach pejzaże, pohispańska architektura miast i miasteczek, egzotyka ich uliczek, wspaniałość katedr i kościołów oraz niesamowite zabytki po Majach, Aztekach i innych ludach indiańskich.

8 lutego około południa, po 12 godzinach lotu, lądujemy w Cancun, na wybrzeżu karaibskim, na Jukatanie. W Warszawie było około zera, tu temperatura +38°C z olbrzymią wilgotnością. Od razu oblepiło nas mokre, rozgrzane powietrze. Widoki turkusowego morza, lazurowego nieba i szmaragdowych lasów miażdżą i nie dają dojść do głosu jakimś tam bzdurnym szokom klimatycznym. Chłonę oczarowany jedną wielką, totalną zielono-błękitnością z niewyobrażalną gamą odcieni. Nie darmo Morze Karaibskie słynie z najwspanialszych błękitów.

Cancun to niedawno powstałe mega wczasowisko, które zdążyło już zdeklasować przesławne Acapulco, leżące z drugiej strony, u wybrzeża Pacyfiku. Będziemy tam później. W Cancun zabudowa kosmiczna. Nasz hotel „Grand Parnas” to istne koloseum i to do n-tej potęgi. Cztery recepcje, mnóstwo „tematycznych” restauracji o menu zróżnicowanym narodowościowo. Wewnątrz przeogromne przestrzenie, z góry zwisają żywe liany, kwiaty, pełno fontann, palm i innych egzotycznych roślin. Sklepy z pamiątkami i nie tylko, butiki itp. Pobieramy karty do pokoju i mapkę hotelu (!), by w nim nie zbłądzić. Z okna pokoju na 15. piętrze oszałamiający widok na błękitne laguny Zatoki Meksykańskiej. Na balkonie wanna z jakuzzi – to już przesada. Ale czas, by coś „przetrać” po podróży. Wybieramy restaurację z rybami i owocami morza: pieczone przeróżne ryby, sałatka z krabów, ośmiorniczek, krewetek i małży św. Jakuba, duszona

langusta. Owoce – sałatka z papai, mango, ananasów i marakui. Soki ze świeżych owoców. No i nie darujemy sobie oczywiście tequili z limonkami w oszronionych solą kieliszkach, która szybko stawia nas na nogi po trudach podróży. Nawet te znane już smaki, jak pomarańcze, banany czy granaty smakują zupełnie inaczej, bo są świeże i naturalne.

Zmęczenie podróżą prysło. Przebieramy się na „letniaków” i idziemy na plażę. Wszędzie mnóstwo zieleni, przeróżnych, nieznanych mi kwiatów, palmy kokosowe z zielonymi „dyniami” orzechów. Fruwają dziwne, kolorowe ptaki, śpiewają i pogwizdują w nieznany i nieoczekiwany sposób. W zielonych krzakach obsypanych amarantowym kwieciem spostrzegam z radością skromne, a wszędobylskie wróbelki. Jednak na mój powitalny, franciszkański okrzyk odwierkują nie jak „ziomale”, a obco i nie wiem czy po hiszpańsku, czy w jakimś majańskim narzeczu. Plaże z parasolami z liści palmowych, piasek jak kasza manna, rozkoszna, orzeźwiająca woda o przezroczystej, kryształowej toni.

Majowie przedkolumbijscy

Nazajutrz rano wyruszamy do Chichen Itza, jednego z miast – ośrodków kultury Majów, a później Tolteków, którzy ich podbili. Kultury obu tych ludów uległy połączeniu w X wieku. Ruiny Chichen Itza pokrywają obszar 8 km². Na całym terenie, częściowo tylko wydartym wszechwładnej, żarłocznej dżungli tropikalnej zwanej selwą, rozrzucone są niezliczone tysiące rzeźbionych kamieni, kolumn i wielu ruin – pozostałości po dawnych mieszkańcach. Wszędzie widoczne szczątki i zarysy monumentalnych budowli, tworzące potężne niegdyś miasto, teraz również robią imponujące wrażenie. Majowie nie stworzyli jednolitego państwa. Ich cywilizacja zorganizowana była w formie miast-państw, tworzących luźne, zmienne w czasie związki gospodarczo-polityczno-obronne. Coś na kształt greckich miast-polis. Spośród



Świątynia Kukulkana



Caracol – obserwatorium astronomiczne

obszernych ruin Chichen Itza, kilka budowli przetrwało w stanie niemal nienaruszonym, jak Świątynia Kukulcana, Świątynia Wojowników, Caracol czy Grób Wielkiego Kapłana.

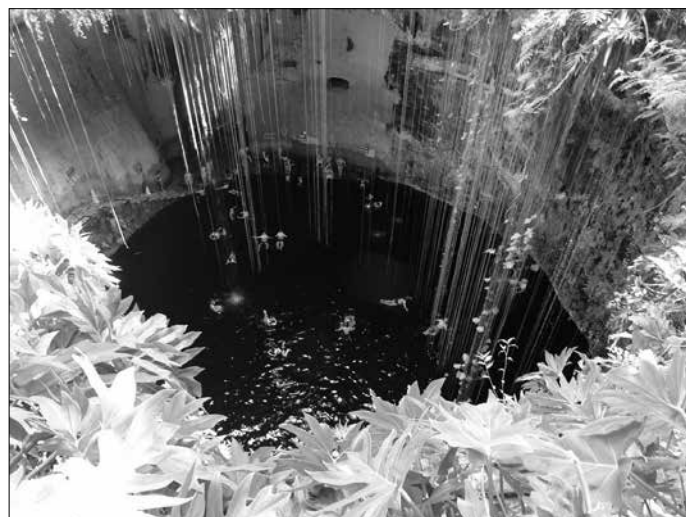
Symetrycznie zbudowana Świątynia Kukulcana jest miejscem, gdzie rozpoczynał się marsz śmierci, w którym brali udział wróżbici zwani chilanes, kapłani i ofiary przeznaczone do wepchnięcia w śmiertelną otchłań źródła życia – cenotes. W czasie uroczystości kapłani zstępowali ze schodów piramidalnej świątyni, niosąc bogate dary. Kiedy procesja doszła do celu, wśród łomotu tunkul, jazgotu piszczałek i żalosnych dźwięków fletów wrzucano do cenotes dorodne dziewczęta i jeńców – wojowników, dla przebłagania gniewnych bogów, żyjących w jej głębinach. Świątynia ma kształt piramidy wysokości 35 m i szerokości boków u podstawy 60 m. Na jej wierzchołek prowadzą z czterech stron strome, szerokie schody. Niedaleko znajduje się cenota. Stojąc metr od krawędzi okrągłego jak studnia o średnicy kilkudziesięciu metrów zbiornika wodnego, zaglądam do tajemniczego, okrągłego otworu. Odległość od powierzchni wody do moich stóp to ok. 20 m. Wrzucony do wnętrza człowiek na pewno nie mógł się wydostać na powierzchnię bez pomocy z zewnątrz. Przeznaczeniem cenotes było składanie ofiar z ludzi.

Na najwyższej kondygnacji Świątyni Wojowników stoi posąg Chac Moola wykonany z kamienia. Przedstawia postać ludzką w pozycji siedzącej, podpierającej łokciami tułów. To bóstwo wyobrażające rytualny stół, na którego gładką i płaską powierzchnię rzucano bijące jeszcze serca ofiar. Ściany budowli zwanej Tzompantli pokryte są setkami wykutych w kamieniu czaszek jeńców wojennych, którym ścięto głowy, lub zawodników, którzy wygrali w pelote i w nagrodę zostali ofiarami dla bogów. Przerażający widok, jakby przeniesiony z samego środka piekła, dający obraz świata okrutnego i demonicznego, a jednocześnie na wskroś przepojonego ludzką egzystencją. Pelota to była rytualna gra w piłkę. Służyła do tego lana, kauczukowa piłka.

Z piramidy Kukulcana patrzę na ciągnącą się równinę pokrytą zielonym kożuchem gęstego, zbitego lasu. Jest wielka, bez granic, jak morze. Jej zieleń jest bujna, jednolita i tak intensywna, że na linii horyzontu wyraźna gra-

nicą odcina się od swego konkurenta – wielkiego błękitu. Prócz obrazów, dźwięki tropikalnej dżungli, głosy ptaków i zapach, jedyny w swoim rodzaju, przesiąknięty żywicą i wonią kwiatów i roślin oraz nadmorskim powietrzem daje prawdziwy obraz tego miejsca.

Ale kultura Majów to także życie i chęć odgadnięcia prawdy na temat istoty ludzkiego życia. Tym wzniosłym celom poświęcali się wykształceni kapłani, od których prosty lud oczekiwał odpowiedzi na pytania jak należy żyć, aby nie stanąć na przekór prawdzie, aby nie zostać odepchniętym od reszty społeczeństwa, czyli jak być w zgodzie z prawem zwyczajowym, obyczajami. Klasę rządzącą od prostego ludu dzieliła przepaść wprost nie do pokonania. Bariera przynależności do kasty stanowiła szczelną granicę. Każda z tych grup żyła w zupełnie innym świecie. Wieśniacy mogli wykonywać ciężką pracę na roli i wypełniać nakazy, natomiast klasy rządzące korzystały z tej pracy, opływając w dostatki. Środowiska nie można było zmienić, przenieść się do innego. Los był dziedziczny. Wprawdzie to podobny ustrój do europejskiego feudalizmu z pańszczyzną, lecz niezupełnie. U Majów los człowieka był jednoznacznie i całkowicie zdeterminowany przez system społeczny, którego istotą była religia. U nas, w Europie, właśnie chrześcijaństwo uczyło o równości ludzi wobec Boga, miłości wzajemnej. I mimo że praktyka społeczna od tego ideału bardzo odbiegała to uświadamiano sobie tę niedoskonałość. Znajdowali się często obrońcy ludu, a „przebicie” i „wybicie” się zdolnych jednostek z nizin społecznych wyżej było możliwe i niejednokrotnie miało miejsce. Były to bowiem społeczeństwa klasowe, ale nie kastowe.



Cenota – studnia krasowa

Świątynia Wojowników to istne arcydzieło sztuki architektonicznej. Wznosząca się na czterech stopniach tarasu z prowadzącymi szerokimi schodami, wzbudza zachwyt. Czworoboczne kolumny ustawione w rzędach po 15 sztuk. Wszystkie noszą wyblakłe wizerunki wojowników. Caracol to cylindryczny budynek, w którego wnętrzu kapłani obserwowali gwiazdy, podejmując próbę wyjaśnienia wielu kwestii związanych z upływem czasu. Caracol jest dowodem na to, że majańscy kapłani byli doskonałymi obserwatorami gwiazd, co wykorzystywali do sporządzania skomplikowanego kalendarza. Potrafili

określić czas słonecznego roku, już wtedy wyliczając go na 365 dni. Kapłani stanowili w społeczeństwach przedkolumbijskiej Ameryki środowisko najbardziej wpływowe, uzależniając od siebie nie tylko prostych ludzi, ale także kastę panów i władców. Na rzeźbionych pomnikach odsłoniętych w tropikalnej dżungli przedstawiani są w pięknych szatach, z klejnotami, otoczeni darami. Wykształcenie i wiedza z zakresu astronomii, astrologii, matematyki oraz medycyny, umiejętność przewidywania zaćmień, rzekoma umiejętność kontaktu ze światem bogów powodowały, że byli podziwiani i budzili trwogę. Tłum upatrywał w nich moc zmieniania losu poprzez swoje obcowanie z bogami. Potrafiли interpretować i wyjaśniać niepokojące zjawiska, jak ruchy ciał niebieskich, wschód i zachód słońca, grzmoty i błyskawice, deszcz, wichry, narodziny i śmierć. Paniczny strach przed wszelką niewiadomą powodował skierowanie spojrzenia prostego człowieka ku błyszczącym szczytom kamiennych świątyń, z których płynęły jasne, klarowne odpowiedzi. Nikt inny tak jak kapłani nie zapewniał poczucia bezpieczeństwa swojemu ludowi, zagłębiając się w nieprzeniknioną dla zwykłych ludzi otchłań pytań bez odpowiedzi. Wiedzę swoją potrafili zapisywać pismem obrazkowym w księgach ze sklejonych wstęg błon celulozowych pozyskanych z liści agawy, które potem widziałem w Muzeum Archeologicznym w Ciudad de Mexico. W dużej mierze zostały one popalone przez hiszpańskich konkwistadorów.



Kalendarz Majów

Świątynne place miast są zbudowane z zadziwiającą akustyką. Gdy jeden z nas, wszedłszy na piramidę Kukulcana, powiedział półgłosem słowo, na dole na całym placu było ono doskonale słyszane. To zapewniało komunikację z ludem.

W XIII w. cywilizacja Majów upadła. Różne mogły być przyczyny opuszczenia swych miast przez Majów. Mogły to być migracje w poszukiwaniu nowych, bardziej urodzajnych ziem. Majowie prowadzili bardzo intensywną, rozwiniętą gospodarkę rolną. Uprawiali wiele odmian kukurydzy, owoców i warzyw. Kukulcan stworzyć miał człowieka właśnie z kukurydzy. Uprawą istotną był kakao, a ziarna jego pełniły rolę pieniądza. Oczywiście pito kakao, co poprawiało nastrój u pijących. Być może były to migracje poprzedzające cykliczne kataklizmy

sejsmiczne. Prawdopodobny jest też aspekt społeczny wywołany ogromnymi różnicami kastowymi w społeczeństwie Majów, co mogło być zarzewiem buntu. Być może niezadowolona z ucisku ludność ruszyła przeciwko swoim prześladowcom mieszkającym w miastach, doprowadzając do ich upadku.



Boisko do peloty

Niezwykła była rytualna gra w piłkę – pelota. Grana na boisku ok. 50 m × 200 m kauczukową piłką – lanką wielkości średniej kapusty. Piłkę wolno było uderzać tylko biodrami i tułowiem z wykluczeniem rąk i nóg. Boisko ziemno-trawiaste było obudowane kamiennym obramowaniem, na którym zasiadali widzowie, a wzdłuż boiska biegali sędziowie czuwający nad prawidłowością gry. Wysoko, kilka metrów nad poziomem boiska, umieszczony na bocznym murze był krąg kamienny z otworem wielkości dużej główki kapusty, przez który należało przerzucić odbijaną laną piłkę. Która drużyna (grały dwa kilkusobowe zespoły) pierwsza tego dokonała, wygrywała i szła na śmierć przez ścięcie głów czy też wyrwanie serca z piersi na żywo. To była nagroda, gdyż od razu zawodnicy szli do rajów, do bogów. Przewodnik Paco, z pochodzenia Indianin, rzuca nam kopię takiej kauczukowej piłki. Drzewa kauczukowe rosną obok w dżungli. Piłka jest dość ciężka, ale rzucona, odbija się od ziemi niezwykle wysoko. Teraz rozumiem, że możliwe było trafienie do otworu umieszczonego w kamiennym kole, chociaż dla mnie byłoby to równocześnie niewiarygodnie trudne.

Po tych niezwykle wrażliwych wrażeniach, gdy aż szumi i kręci się w głowie, przejeżdżamy do innej „studni” krasowej – cenoty Ik Kil (gdzie nie topiono chyba ofiar), zagospodarowanej turystycznie na cudowną kąpiel w źródlanej, chłodnej, brylantowej wodzie. Otoczona bujną zielenią, przez którą prześwituje słońce, wygląda jak czarowne przejście do rajów. I ten orzeźwiający chłód w upale tropiku.

Po tych przeżyciach jedziemy do Meridy na nocleg. Po drodze zatrzymujemy się w niewielkim mieście Ixamal, gdzie zwiedzamy urokliwy klasztor dominikański Matki Boskiej Jukatańskiej. Kościół i rozległe budowle klasztorne z wysokim ozdobnym parkanem pomalowane na jednolity, złoty kolor. W promieniach zachodzącego słońca cały zespół klasztorny wygląda jak z czarowanej bajki. Na dziedzińcu klasztornym stoi duży pomnik Jana Pawła II, który tu był.

Następnego dnia jedziemy do Celestum. Miejscowość leży nad brzegiem Zatoki Meksykańskiej. Wybrzeże podmokłe z charakterystycznymi lasami namorzynowymi. W labiryncie lagun płyniemy motorówką wśród niezrażonych tym stad flamingów, pelikanów, czapli, kormoranów i innych ptaków wodnych. Woda lagun różowa, to znów czerwona jak cegła, harmonizuje z barwą niezliczonych kolonii żerujących swymi jak fajki dziobami flamingów. Na korzeniogąłęziach namorzynów wiszą duże termitiery jakiejś nadmorskiej odmiany tych owadów.

Jedziemy do Uxmal, gdzie w dżungli na dużych, wydartych leśnych polaciach oglądamy centrum religijne Majów i pozostałości po kolejnym ich mieście. Znajduje się tu m.in. tzw. Pałac Gubernatora (ogromna, największa budowla przedkolumbijska w Ameryce, Świątynia Wróźbity oraz Czworokąt Mniszek – zespół budynków przypominających klasztor. Na murach kolosalnej budowli wygrzewają się w tropikalnym słońcu wspaniałe iguany, znieruchomiałe jak architektoniczne elementy prastarego pałacu, jakże innego od widzianych dotychczas w Europie. Gady wyglądają jak rzeźby ówczesnych majańskich artystów. Są piękne, magiczne i pełne godności. Zaskakują przeróżne rozwiązania architektoniczne służące wzmocnieniu oddziaływania na podwładnych, wywołania wrażenia na przybywających do władcy z wizytą przedstawicieli innych miast. Wyłaniające się z dżungli mury całkiem dobrze zachowanej budowli pozwalają wyobrazić sobie, jak wyglądały, gdy tętniło tu życie. Przede wszystkim jednak budzi uznanie stosowanie łuku w konstrukcjach sklepień i zwieńczeń. Co ciekawe, jeszcze nie jako wycinka koła, a trójkątnego. Świadczy to o pewnej wiedzy ze statyki budowli, której nie posiadali budowniczowie piramid i świątyń egipskich i greckich.

Egzotyka

W drodze do Campeche wędrujemy wiele kilometrów pieszo przez gęstą dżunglę. Łatwiej iść, bo posuwamy się ścieżką tapirów i jaguarów na nie polujących, oraz innych zwierząt. Pomimo to i tak trzeba pomagać sobie maczetą. Mogę skupić się na całej oszalałej florze i faunie jukatańskiej selwy. Szalona dziewicza zieloność. Liany i palmy, kakaowce i mahoniowce, filodendrony, drzewa kauczukowe i ogromne paprocie, bananowce i mangowce, palmy kokosowe z ogromnymi jak arbuzy orzechami. Z gałęzi zwisają to papaje, to awokado, limonki lub mandarynki. Na polanie rośnie trzcina cukrowa. Patrząc na to wszystko zahipnotyzowany, z zachwytem i niedowierzaniem. Nasycenie wszelkich dóbr natury robi ogromne, niesamowite i niezapomniane wrażenie. Raczę się jakimiś kwaskowatymi owocami prosto z drzewa. Współbiedując, wielobarwne papugi drą się przeraźliwie, przekrzywając łebki. Obok w uwitym na krzakach gniazdku siedzi koliberek, kilka innych jak ważki fruwa obok, spijając długimi, lancetowatymi dzióbkami nektar z pomarańczowych i niebieskich kwiatów o odurzającym zapachu. Im też niczego nie brakuje. Podrygują w powietrzu kolorowe piórka ich długich, lirowatych ogonków. Las rozbrzmiewa nieujarzmioną dodekafonią gwizdów, świstów, małych chycha pohukiwań, wrzasków, abstrakcyjnych głosów.

Dzikość i nieokiełznanie. Wywołany klaskaniem odzywa się z głuszy quetzal – kolorowy, z przewagą zielonego, ptak, symbol wolności, bo ginie w klatce. Jego głos wywołuje przejmujące wrażenia. Kiedyś Indianie polowali na niego dla przepięknych, długich, zielonych piór. Pióropusz Montezumy, który Cortez wysłał królowi Hiszpanii, był z piór tego ptaka. Kopię tego pióropusza będziemy później widzieć w Muzeum Archeologicznym. (Ostatnio Mennica Polska na zlecenie Gwatemali drukowała banknoty – quetzale.) Nagle ścieżkę przecina kolorowy wąż – długi jak „wąż” mojej pralki. Na moment zatrzymuje się na środku, my też. Na szczęście po chwili znika w zaroślach. Byłby problem, gdyby zwinął się w kłębek i przyjął postawę obronno-atakującą z głową wyciągniętą do nas. To wąż koralowy, którego ukąszenie daje tylko 8–12 godzin czasu na zastrzyk z antidotum. Paco, nasz przewodnik po dżungli, opowiada o ludziach, którzy giną lekkomyślnie od ukąszeń węży.



Współcześni młodzi Majowie

Dzisiejsi Majowie

Następnego dnia opuszczamy Campeche i jedziemy do Palenque w stanie Tabasco. Droga asfaltowa ma dobrą, ale dość wąską nawierzchnię. Nie przeszkadza to jednak, ponieważ całymi godzinami nie spotykamy żadnego innego samochodu.

Dziko i pusto. Cały czas towarzyszy nam gęsta, zielona selwa. Z rzadka, gdzieś obok drogi pojawiają się małe osiedla – wioski o groteskowej i prowizorycznej zabudowie. Kilka, dosłownie 2–3 małe domki z obszernymi otworami jedynie na okna i drzwi, sklecone z kamieni – niesłychana prowizorka. Wewnątrz wiszą hamaki, jest jakieś palenisko, garnki. Niektóre chaty, jak za dawnych czasów – kłosać w białą ziemię kije, przeplecione suchymi liśćmi palmowymi i oblepione gliną, dach palmowy. Mieszkają w nich współcześni Majowie. To nie tyle bieda, co krańcowy, naturalny minimalizm. Jest przecież ciepło a dżungla zawsze wyżywi. Ma to niezwykły, egzotyczny urok. Indianki w hamakach kołyszą małe dzieci, coś pitraszą. Starsze dzieci baraszkują obok. Mężczyźni w dżungli na polowaniu, inni odpoczywają w hamakach, paląc papierosy. Często jest budo-szopa z napisem „Farmacia”, którą gdyby zobaczył mój przy-

jacieli aptekarz, rozplakałby się. No i czasem hotelik jak z uciechnej bajki, o górnołotnej nazwie, np. „Victoria”, „Ritz”, „Las Vegas”. Obłędnie wymalowany, z fikuśną a wyrafinowaną architekturką: portalikami, tarasikami, arkadowymi ganeczkami, przybudóweczkami, krużgankami, kolumnienkami. Wszystko mniejsze i niższe, jak na nasze gusta, wszakże Majowie i Metysi są dość niscy.

W Palenque zwiedzamy monumentalne pozostałości miasta opuszczonego przez Indian w X wieku, odkrytego dopiero w XVIII w.: Świątynię Inskrypcji, wspaniałą Pałac Królewski z licznymi kolumnami i korytarzami pokrytymi płaskorzeźbami, świątynię Słońca i Księżycy, datowane na VII wiek z licznymi inskrypcjami. Mimo pewnych problemów „zaliczam” wszystkie do tej pory piramido-świątynię, wdrapując się po stromych schodach o wysokich stopniach.

Niesamowite jest morze zielonej dżungli widziane z wysokiej piramidy. Tam też spędzamy dużo emocjonującego czasu w rozległym, kilkukilometrowym parku zwierząt, gdzie buszują jaguary (czarne i cętkowane), oceloty, tapiry, dziki pekari. Małpy szaleją na drzewach wraz ze stadami, nie wiedzieć czemu aż tak kolorowych, papug, tukanów i innych barwnych dziwo-ptaków.

Nazajutrz wyjeżdżamy do stanu Chiapas. Park Narodowy Aqua Azul, gdzie rzeka spływająca z gór po skalistym podłożu tworzy wielokilometrowe błękitne kaskady w otoczeniu zielonej dżungli. Urzeczeni kolorowymi widokami dojeżdżamy wieczorem do stolicy tego indiańskiego stanu – San Cristobal. Zwiedzamy m.in. „hiszpańskie centrum” skupione wokół głównego placu (zocalo), katedrę, barokowy, majestatyczny kościół Santo Domingo. Wszystkie obiekty zbudowane przed wiekami przez Hiszpanów. Wczesnym rankiem wyprawiamy się do San Juan Chamule – wioski zamieszkałej przez Majów, zachowujących tradycyjny styl życia (uprawa roli i rękodzieło), w tym autentyczny, tradycyjny, indiański strój i biało-czerwone sarapes, kapelusze z liści palmowych.

Tu zostajemy wpuszczeni do ich świątyni pw. św. Jana gdzie synkretyzm religijny przybrał bardzo specyficzną formę, tworząc z religii Majów i chrześcijaństwa konglomerat dość odległy od naszej wiary. „Przypadek” Indian Chamula omawiany jest na wszystkich uczelniach teologicznych, pewnie także i na naszym KUL-u. Nie wolno fotografować, gdyż to zakłóca więź żywych ze zmarłymi z rodziny. W zeszłym tygodniu maczetą zabito Francuza, który zlekceważył ten zakaz. Paco przybiera surową, groźną minę. Wchodzimy do jaskrawo-kolorowego kościoła. Nie ma tu księdza, ołtarza, mszy świętej. Naokoło przy ścianach stoją figury „naszych” świętych z przydanymi im drugimi imionami bóstw indiańskich, ubrane w zmieniające okresowo i prane stroje. Cała posadzka wysypana jest jakimś zielskiem. Majowie w rodzinnych grupkach siedzą, stoją lub klęczą, modląc się mantrycznie, paląc kadzidło z drzewa kadzidłowego i piją destylat alkoholowy pulque z agawy tu jedynie pędzony specjalnie do tego celu. Pijanych nie widzę. Od czasu do czasu któraś z Indianek ucina głowę kogutowi, spuszczając krew do kielicha, co idzie na ofiarę, a kogut do torby. W ogóle katolicyzm, praktyka religijna Meksykanów kulturowe pewne

elementy dawnej wiary przedchrześcijańskiej. Hiszpanie dominowali w XVI wieku, chrystianizując Meksyk, nazwany wówczas Nową Hiszpanią, pragnęli by proces ten przebiegał bezkolizyjnie i sprawnie. Dlatego też świadomie dopuścili do transpozycji pewnych elementów dawnej wiary do chrześcijaństwa, bacząc oczywiście, by nie tworzyć herezji, a bazując na potrzebach religijnych ludzi jednakowych przecież w każdej kulturze.

Jak Meksyk – to kaktusy i tequila

Po opuszczeniu Jukatanu pejzaż zmienia się bardzo. Pojawiają się góry porośnięte kaktusowymi „lasami”. Kaktusy wielkości olbrzymich drzew, niektóre jak żydowskie świeczniki obrzędowe wielo- w tym siedmioramienne menory, inne o blaszko-liściach owalnych oczywiście pokrytych kolcami, jak ogromne zielone placki, słupy i kolumny, podpierające meksykańskie niebo, to znowu kule kolczaste nieporównywalne do niczego, jak żywo- twory wylazłe z ziemi straszące skupionym bezruchem, nabrzmiałe zmagazynowanym zielono-kolczastym, o tajemnych intencjach życiem, na spalonej słońcem czerwonej z rdzawymi plamami ziemi.

Surrealizm botaniczny, przy którym Salvador Dali to Nikifor. Różnorodność konstrukcji i form roślinnych niewiarygodna. Płyniemy wielkim Kanionem Sumidero. Wspaniała przyroda, nieporównywalne, niezapomniane widoki. Brzegi kanionu wznoszą się miejscami na wysokość 1200 m. Na wąskich brzegach rzeki wygrzewają się olbrzymie krokodyle. Trzeba bardzo uważać, by nie wypaść z łodzi. Zza burty z wody lypią na nas złowrogo i łakomie wypukłe ślepie ich pobratymców. Na kryształowo-błękitnym niebie sylwetki wielkich orłów i sępów wypatrują w dole ofiar, krążąc z majestatyczną pewnością siebie. Nocujemy w Tehuantepec, skąd nazajutrz jedziemy do Mitli – centrum religijnego Misteków i Zapoteków, ludów równoległych Majom, po drodze „wizytujemy” fabrykę mezcalu. To destylat podobny do tequili, wytwarzany z agawy. Degustacja z „zakąską” w formie ćwiartki pomarańczy z żywą larwą robaka żerującego na agawie. Smakuje bardzo oryginalnie.

I jak wszędzie, w każdym sklepie, bazarowym kramie, każdej firmie – ołtarzyk z wizerunkiem Matki Boskiej z Gwadelupy, krzyżem i obrazem naszego papieża św. Jana Pawła II. No i duży kielich z mezcalem lub tequilą stojący przed obrazami. Zwiedzamy po drodze do Oaxaca – Monte Alban, starożytną stolicę Olmeków, potem Zapoteków i w końcu Misteków, położoną na szczytach ścietych wzgórz. Piękna panorama na ogromną przestrzeń z pozostałościami rozległego indiańskiego miasta. Wielkie piramidy, nieco inne niż Majów, także boisko do gry w piłkę, obserwatorium astronomiczne, tzw. Ściana Tancerzy.

Pohiszańskie cudowności i nostalgia

Trasą widokową, jedną z najpiękniejszych na świecie, prowadzącą serpentynami zamykającymi strachem oczy, wiaduktami rozpiętymi szaleńczo nad przepastnymi wąwozami o konstrukcji rzymskich akweduktów, trasą

prowadzącą przez Góry Sierra Madre zdążamy do Oaxaca – miasta przez wielu uznawanego za „kwintesencję meksykańskości”. Widoki w górach zapierające dech w piersiach, przyprawiające o zawrót głowy, niemożliwe do opisanie. Natomiast Oaxaca, stolica stanu o tej nazwie, to średniej wielkości miasto prowincjonalne o nieprzepartym uroku. Pohiszpańska architektura z zachwycającą katedrą o wnętrzu kąpiącym złotem, blask którego w promieniach południowego słońca swoją aurą przenosi w bliską sercu, bo znaną już z dzieciństwa z uboższych w złoto polskich kościołów – transcendentność. Także wspaniały kościół św. Dominika. No i te uliczki kolonialnej starówki niesłychanie kolorowe, aż tchnące duchem egzotycznego meksykańskiego południa. Nie darmo mówią, że być w Meksyku i nie widzieć Oaxaca, to tak jak być w Rzymie i nie widzieć Watykanu. Bo oprócz obiektywnego piękna, jest w nim czar południa, urok egzotycznej prowincjonalności. Czuć smak i zapach czasu płynącego powolną cienką stróżką. Otacza go magia jakiejś melancholii i nostalgii za czymś nieokreślonym. To ten czarodziejski smutek południa, zwany też smutkiem tropików – opisywany przez Camusa. Taki smutek w blasku słońca; gdy zastanowić się nad jego źródłem, nasuwa się przypuszczenie, że egzystencjalną jego przyczyną jest m.in. jednostajność gorącego rozleniwiającego klimatu, brak przemienności pór roku – tak jak u nas, co nadaje dynamikę życiu. A także skromne materialne warunki bytowania oraz skomplikowana, dramatyczna historia, niejednoznaczna przeszłość rodząca problemy tożsamościowe. A przecież na zewnątrz i na co dzień Meksykanie są ludźmi wesołymi i otwartymi, kochającymi muzykę i zabawę. W miastach na placu zocalo odbywają się ciągle fiesty kolorowe z muzyką, śpiewem i tańcami. Ten paradoks zniewala swym wdziękiem. Jest charakterystyczny dla Latynosów i Iberów.



Uliczka w Oaxaca

Oaxaca zachwyca! Nogi spętane zmęczeniem grzęzną w upale, a mimo to nie ustajemy w krążeniu – do nieprzypadkowego amoku, jak w transie – klimatycznymi, barwnymi uliczkami pamiętającymi czasy konkwistadorów, a kamienne domy, niewysokie, góra jednopiętrowe, kamieniczki z dającymi chłód zielonymi, ukwieconymi patiami tańczą gorące hiszpańskie flamenco, zadziwia-

jąc swym nostalgicznym pięknem. Przystajemy przy zalewających feerią kolorów straganach bazarowych z miedzianymi Indiankami oferującymi stroje, torby, biżuterię – kolorystyka których zmusza do zmiany wyobrażenia o kolorach. Błądzimy w labiryncie magicznego piękna. W małej kawiarni pijemy kakao przyrządzone z ziaren kakaowca i kory cynamonowej mielonych *ad hoc* – przy nas. Jakże inaczej smakuje od pitych dotąd. Po wypiciu filiżanki czuję się jak skrzyżowanie Kukulcana i Quetzalcoatl, czyli Pierzastego Węża. Albo też jak meksykański macho. Robię parę zdjęć śniadym uroczym buziom dziecięcym – za otrzymane długopisy pozują chętnie. Są też stoiska – stragany spożywcze z owocami, kurczakami w czekoladzie na ostro i różnymi meksykańskimi specjałami. Szokują wysypane w metrowe stożki smażone pasikoniki, które miejscowi wcinają z torebek, spacerując po mieście. Tak, tu jedzą owady. Smażą stopy tortilli, zawijając w nie przeróżne warzywno-mięsne nadzienia. Tortilla – meksykański chleb – placki z kukurydzy. Ma on „polityczną” cenę, bo ustaloną na stałe. Jest ona niezmienna (po rozruchach ludności) bez względu na wahania cen kukurydzy.

Nocujemy w hotelu z ciosanych kamieni, pamiętającym jeszcze czasy kolonialne, co dostarcza wielu refleksyjnych doznań i przeżyć. Architektura z portalikami pełna balustrad, balkoników, kolumnienek, krużganków, tarasików, ażurowe, pięknie rzeźbione drzwi i okna, kolorowe szybki. Na dole kipiące zielenią i kwiatami, wyłożone ceramicznymi płytkami patio. Zapraszają do odpoczynku w chłodzie zabytkowe finezyjne kanapy. Wszystko kolorowe. Szemrzą w ciszy kamienne fontanny, przenosząc w inny, zamierzchły czas, w odległą rzeczywistość, gdy Meksyk był Nową Hiszpanią.

Nazajutrz meldujemy się w Puebli – starym mieście o kolonialnym charakterze – zwanym „miastem aniołów”. Szczególne obiekty to Plaza de Armas, stare miasto z kolonialnymi domami, kościół Santo Domingo, kaplica Różańcowa. Puebli to centrum rejonu, w którym działała w 1910 r. i później rewolucyjna partyzantka ludowa Emiliana Zapata i Pancho Villi. Do dziś funkcjonuje tu kawiarnia „Rewolucja” ciesząca się powodzeniem. Na placu zocalo – tutejszym rynku – trwa częsta w Meksyku fiesta: gra muzyka, śpiewają piosenkarki, ludzie tańczą.

Następnego dnia jedziemy do Cholula zwanego miastem kwiatów. Zwiedzamy okazały kościół z czasów konkwisty zbudowany na azteckiej piramidzie, będącej największą piramidą świata, większą od egipskiej – Cheopsa. To tu w 1520 r. Cortez wymordował 2000 Indian, za co później królowie hiszpańscy Izabela i Ferdynand wytoczyli mu proces o ludobójstwo. Przechodzimy kilkusetmetrowymi wąskimi tunelami wewnątrz piramidy, kontemplując ogrom i monumentalność budowli. Z jej szczytu podziwiamy kilkadziesiąt kościołów w Cholula, zbudowanych z materiału piramidy częściowo rozebranej. Cortez planował budowę 365 kościołów. W Cholula w katedrze znajduje się piękny, z dużym artyzmem wykonany obraz z trzema postaciami Pana Jezusa. Tak początkowo Indianie wyobrażali sobie Trójcę Świętą. Podziw wywołuje górująca nad miastem i okolicą słynna para wulkanów Popocatepetl i Ixtacichnatl.

Wieczorem docieramy do Acapulco i lokujemy się w hotelu „Copacabana”. (Obie nazwy znane nam chociażby ze światowych superprzebojów muzyki rozrywkowej). To słynny kurort nad Pacyfikiem, w którym kiedyś mieli rezydencje najsłynniejsi aktorzy Hollywood.

Wieczorem idziemy oglądać niesamowity pokaz skoków ze Skały Śmierci – La Quebrada. Sportowe skoki z trampoliny czy wieży to niewinna zabawa. Tu idzie o to, by tak skoczyć z ok. 40 m do wąskiego przesmyku oceanicznego między skałami, aby nie zawadzić o nie i nie zostać rozerwanym. Skaczą młodzi chłopcy od 8 do 30 lat, stale ci sami, trenujący ten mrozący krew w żylach wyczyn.

Nazajutrz wieczorem płyniemy statkiem po zatoce i podziwiamy niepowtarzalny, ściskający za gardło swymi kolorami, zachód słońca nad Pacyfikiem. Sensacyjnych wrażeń dostarczają baraszkujące w wodach zatoki wieloryby. Są większe niż sobie wyobrażałem.

Po dwudniowym wypoczynku w Acapulco wyjazd w kierunku Mexico City. Ale po drodze wizyta w Taxco, zwanym „srebrnym miastem”. Do dziś istnieją tu czynne kopalnie srebra, a miasto słynie z pięknych wyrobów jubilerskich. Całe miasto to gęszcz białych „srebrnych” domów krytych czerwoną dachówką z płataniną magicznych uliczek i zaułków. Spacer tymi krętymi, malowniczymi uliczkami dostarcza niezapomnianych wrażeń. Ale najwspanialszy jest słynny z fantazyjnej architektury kościół Świętej Pyski, zbudowany w połowie XVIII wieku przez Hiszpana, który wzbogacił się na kopalni srebra. Architektura tego kościoła i jego wnętrza oszałamiają, porażają swym przebogatym i finezyjnym wystrojem. Kościół ten jest przykładem kolonialnego budownictwa w stylu baroku hiszpańskiego, zwanego „churrigueresco”. Wewnątrz trzy pary bliźniaczych ołtarzy z niewiarygodną ilością rzeźb pokrytych złotem. W zakrystii obrazy z tamtego okresu o ogromnej wartości artystycznej autorstwa Cabrery, malarza indiańskiego z ludu Zapoteków, przedstawiające sceny z życia Matki Bożej.

Miasto Meksyk. Matka Boska z Guadalupe

Wieczorem dojeżdżamy do miasta Meksyk. Pisarz Carlos Fuentes nazwał Meksyk „miastem świadomej niepamięci”. Mieszkańcy wolą nie rozpamiętywać trudnej, wielowiekowej historii. Żyją dalej i z tego życia korzystają najpiękniej jak potrafią. Miasto liczy ponad 20 milionów mieszkańców, 12 milionów turystów rocznie, 7 milionów pielgrzymów odwiedzających co roku Matkę Boską z Guadalupe. W tym tłumie na ulicach napotyka się rozkrzyczanych ulicznych handlarzy, zapaśników w maskach, figurki Świętej Śmierci, mariachi, tequile i tyle potraw, że trzeba życia, by spróbować wszystkich. Uf...

„Oto przybyłem do krainy najczystszej powietrza” krzyknął Cortez, gdy ze szczytu góry pierwszy raz w 1519 r. zobaczył teren, na którym teraz leży miasto. Od czasów konkwisty wiele się zmieniło i w mieście jest szarobury smog. Meksyk leży w dolinie (choć położonej wysoko – 2240 m n.p.m.) i spalinom trudno się stąd wydostać. Nowożytna historia rozpoczęła się, kiedy Cortez

przyplynał tutaj z Kuby. Po podbiciu Azteków, w 1521 r. zburzono leżącą tu stolicę Tenochtitlan, a jeziora w dolinie zasypano. Współczesny Meksyk wciąż odczuwa tę decyzję i w wielu miejscach po prostu się zapada. Są tu budynki tak krzywe, że aż dziw, iż jeszcze stoją. Zapada się także jeden z największych zabytków – Katedra Metropolitalna, na głównym placu miasta Zocalo. Zapada się także główny cel pielgrzymów z całego świata – Bazylika Matki Boskiej z Guadalupe, w północnej części miasta. To właśnie tutaj prostemu Indianinowi Juanowi Diego ukazała się Najświętsza Panienka, tym samym dając znak tubylcom, by przeszli na katolicyzm. Dziś Meksykanie zwracają się do Niej w codziennych modlitwach, umieszczając Ją na obrazach oraz na milionach



Katedra św. Pyski w Taxco

koszulek, długopisów, zeszytów szkolnych, czy nawet tatuaży. Cudowny obraz „Virgencity” – jak tu nazywa się Matkę Boską z Guadalupe, został przeniesiony do nowego kościoła obok. Jest to wizerunek Matki Boskiej, która ukazała się Indianinowi Juanowi Diego, odbity na jego sukni – poncho. Nie jest namalowany ręką ludzką. Poncho jest wykonane z włókna agawy – sizalu, który starzejąc się po 40 latach ulega samorozpadowi. Ten wizerunek temu nie uległ. Oglądając przez powiększenie, badający go uczeni ujrzeli w oczach Matki Boskiej postać klęczącego przed Nią Juana, biskupa i inne postaci, które wówczas były obecne przy tym wydarzeniu. To odpowiednik obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej w Polsce, tak w znaczeniu religijnym, jak i narodowym. Spotyka się go dosłownie wszędzie, także w zakładach pracy, w sklepach, na ulicach, bazarach. Nawet łodzie motorowe, którymi pływaliśmy w zatoce Acapulco, czy w Zatoce Meksykańskiej, lub kamienie Qumidero posiadały obraz Matki Boskiej z Guadalupe.

Wielkim kultem otoczony jest też św. Jan Paweł II. Jego pomniki stoją w każdym, nawet niewielkim, mieście na placach przed miejscowymi katedrami. Obok Bazyliki Matki Boskiej stoi potężny 5-metrowej wysokości pomnik „naszego” papieża św. Jana Pawła II. Na piersi jego widnieje płaskorzeźba Matki Boskiej, jak na sukni Indianina Juana. Obok Matki Boskiej z Guadalupe Meksyk żyje jeszcze piłką nożną i zapasami w stylu wolnym „lucha libre”.

Obserwujemy pielgrzymkę do Matki Boskiej przybyłą z jakiegoś meksykańskiego miasta. Wszyscy w ludowych strojach o niezwykle kolorystyce, niektórzy z dużymi krzyżami na piersiach i plecach. Starsi i młodzi. Modlą się i śpiewają, okazując wielką religijność.

Mariachi – meksykański folklor

Wieczorem idziemy na plac Garibaldiego posłuchać i zobaczyć przesławnych mariachis. To swoisty folklor meksykański, będący kwintesencją tutejszego stylu życia. Wyłącznie męskie zespoły muzyczne (trąbki, gitary i skrzypce + wokół grających) w charakterystycznych, obcisłych strojach, w kapeluszach, emanujących męskością typu macho – grają porywającą, latynoską muzykę. Wiele „kawałków” znanych na całym świecie, jak np. *La cucaracha*, *Quantanamera*, *Besame mucho*, a także dwie melodie nie wiedzieć czemu popularne w czasie okupacji niemieckiej w Warszawie i z odpowiednim tekstem śpiewane jako antyniemiecki folklor warszawski: „Teraz jest wojna, kto handluje ten żyje...” i „Siekiera, motyka, piłka, szklanka...”.

Po wstępnym spektaklu na placu idziemy do lokalu „Guadalajara de Noche” na wieczór meksykański, który w całości wypełnia fascynująca muzyka mariachi, połączona z tańcami latynoskimi. Wrażenia niezapomniane.

Muzealia

Kolejny dzień w stolicy poświęcamy na zwiedzanie. Nie do ogarnięcia jest wielość wrażeń i informacji z Muzeum Antropologicznego, zawierającego największą kolekcję pamiątek archeologicznych w Meksyku: dawne figury bóstw, ludzi i zwierząt, wyrzeźbione w wulkanicznej skale, narzędzia, w tym niezwykle ostre noże z obsydianu – półszlachetnego kamienia wulkanicznego, stoły kamienne do składania ofiar z ludzi, elementy wyposażenia świątyń i domów majańskiej elity, świadczą o wysokim poziomie tamtejszej cywilizacji oraz o kunszcie rzemieślników i artystów ówczesnych, którzy je wykonali. Ogromu wrażeń dostarcza zwiedzanie Pałacu Narodowego. Ten historyczny obiekt został zbudowany w 1523 r. na ruinach pałacu króla Azteków Montezumy i stał się oficjalną rezydencją zdobywcy Meksyku Hernana Corteza. Konstrukcja pałacu ma kształt fortecy i onieśmiela wręcz swym ogromem i monumentalnym pięknem. Potem rezydowali tu wicekrólowie Nowej Hiszpanii, w końcu prezydenci Meksyku. Jego mury, a zwłaszcza fundamenty, są niemymi świadkami historii Meksyku. Na jego murach, od wewnątrz, nad głównymi schodami podziwiamy porażające swą wymową i pięknem freski – murale pt. *Meksyk przez wieki* – gigantyczne dzieło największego malarza muralisty na świecie – Diego Riverę, żyjącego w latach 1886–1957. W niesłychanie plastyczny sposób, z ogromnym artyzmem i realizmem jednocześnie ukazuje on w ogromnych malowidłach naściennych całą historię Meksyku, od czasów przedkolumbijskich włącznie do współczesnych. Widzimy na nich życie dawnych Indian; pokazane są kultury różnych ludów indiańskich w ich codziennym życiu, pracy, przy czym wydobyte

i pokazane są najbardziej istotne i charakterystyczne elementy ich kultur: składanie ofiar z ludzi, wielki targ Tltelalco, obróbka kamieni, zbieranie złota w rzece, gra w piłkę, uprawa kukurydzy, uprawa kakaowca, potrawy z kukurydzy, przyrządzanie kakao przez Indian, uprawa agawy i pozyskiwanie z niej napoju i włókien sisalowych. Następnie przybycie Hiszpanów do Meksyku w 1519 r., nawracanie Indian przez dominikanów i franciszkanów, którzy uczyli ich rolnictwa i czytania, powstanie rasy metysów, uzyskanie niepodległości przez Meksyk w 1821 r., wojna ze Stanami Zjednoczonymi, reformy i rewolucja Juareza, inwazja francuska w 1862 r. i cesarz Maksymilian, Rewolucja Meksykańska w 1910 r.

Ostatni dzień w mieście Meksyk to zwiedzanie odległego o ok. 50 km ośrodka religijnego i politycznego Azteków – Teotihuacan. Warto tu było, chociaż z wielkim trudem, wejść na przeogromną Piramidę Słońca, by naładować się magiczną energią i podziwiać wspaniałe widoki, w tym na stojącą obok, niższą trochę Piramidę Księżycy i Świątynię Pierzastego Węża.

Wieczorem przelatujemy do Cancun, gdzie odpoczywamy po przebogatych we wrażenia dniach spędzonych na zwiedzaniu rozległych przestrzeni Meksyku. Przez pozostały czas plażujemy nad bajecznymi wodami Zatok Meksykańskiej, zażywając morskich i słonecznych kąpiei. Lecz nie odzyskujemy wcale przytomności z oszołomienia i oczarowania baśniowymi miastami Majów i Azteków, ich piramidalnymi świątyniami, z urzeczenia ich niesamowitymi magicznymi pałacami w zielonej dżungli, z zadurzenia w miastach i katedrach hiszpańskich konkwistadorów, o południowym kolonialnym kolorycie i uroku, z zachłyśnięcia widokami zatykającymi dech w piersi z bajkową florą i fauną.



Plaża w Acapulco

Zauroczenie tym fascynującym pod każdym względem, jakże innym, napęczniałym egzotyką jak meksykańska fasola w chili con carne – krajem, uległo trwałemu utwierdzeniu. I tak już zostanie, a muzyka mariachis z placu Garibaldiego, która uwodzi zaborczo na zawsze – nigdy nie wybrzmi z moich uszu, bo gra ją nawet cisza, do rytmu upływającego czasu... I tylko do Matki Boskiej z Guadalupe prośby zanoszę, by był to czas zdrowia dla moich bliskich, przyjaciół i dla mnie.

Marian Surdacki

Z wizytą w Mediolanie

Na tle około 20 uniwersytetów włoskich powstałych w średniowieczu, w tym najstarszego z nich w całej Europie uniwersytetu bolońskiego, *L'Università Cattolica del Sacro Cuore* w Mediolanie w aspekcie historycznym niczym się nie wyróżnia. Jego rola w dziejach włoskich ośrodków akademickich polega na tym, że był pierwszym i do dziś największym uniwersytecie katolickim w tym kraju, podobnie jak w Polsce Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II. Są to więc uniwersytety „braterskie”, o wspólnej bazie ideologicznej, należące do szerokiej rodziny uniwersytetów kościelnych – katolickich. Oba posiadają podobną metrykę narodzin i społeczno-polityczne uwarunkowania fundacji oraz podobnych, wybitnych, duchownych założycieli.



Siedziba *L'Università Cattolica del Sacro Cuore* w Mediolanie

Uniwersytet katolicki w Mediolanie ufundował w roku 1921, przy poparciu arcybiskupa Andrea Carlo Ferrari, franciszkanin, absolwent medycyny Agostino Gemelli, pierwszy i dożywotni jego rektor (1921–1958). Otwarcia nowej placówki dokonał kard. Achille Ratti, późniejszy papież Pius XI. Organizacją założycielską Uniwersytetu Najświętszego Serca był związany w 1919 r. Instytut Studiów Wyższych „Giuseppe Toniolo”. Uniwersytet powstał w oparciu o dwa wydziały – filozofii i nauk społecznych, natomiast w 1923 r. otwarte zostały wydziały literatury i prawa. W roku 1924 nowej uczelni przyznano status wolnego uniwersytetu na prawach uczelni państwowych. Od końca lat 20. do 40. uniwersytet kontrolowany był przez umacniający się stale reżim państwa totalitarnego. W latach 1941–1944 rektor Gemelli organizował tajne spotkania profesorów i asystentów, mające na celu przygotowanie „kodeksu społecznego”, który miał służyć odbudowie przyszłego państwa demokracji chrześcijańskiej po przewidywanym upadku faszyzmu i dyktatury Mussoliniego. W czasie wojny i tuż po jej zakończeniu mediolańska *la Cattolica* (popularna nazwa uczelni) uformowała masy studentów w duchu

filozofii i kultury chrześcijańskiej, którzy tworzyli włoską demokrację i zajmowali newralgiczne stanowiska w instytucjach państwowych i administracji publicznej.

Wraz ze śmiercią ojca Gemelli (1958) uniwersytet przeżywał trudny okres, m.in. wskutek braku sformalizowanych relacji z włoskim episkopatem. W latach 60. i 70. *la Cattolica* weszła w okres dynamicznego rozwoju, czego wyrazem był stały wzrost liczby studentów i kadry naukowej oraz utworzenie nowych siedzib uniwersyteckich poza Mediolanem: Piacenza – rolnictwo, Brescia – wydział pedagogiczny kształcący nauczycieli. Najważniejsze jednak było założenie w 1958 r. wydziału medycyny i chirurgii w Rzymie wraz z kliniką uniwersytecką imienia Agostino Gemelli, z której usług wielokrotnie korzystał papież Jan Paweł II. W roku 2002 w Campobasso powstała piąta siedziba uniwersytetu z centrum badań biomedycznych.

Uniwersytet mediolański był miejscem i areną wielu przełomowych wydarzeń w najnowszej historii Włoch, zarówno w sferze życia państwowego, jak i tamtejszego Kościoła. Odgrywał bardzo ważną rolę w modernizowaniu państwa i wprowadzaniu w nim zmian politycznych i kulturalnych, wniósł znaczący wkład w dojrzewanie prądów duchowych i postaw ideologicznych, które wpływały na ukształtowanie się różnych postaw i odcieni włoskiego katolicyzmu. Ważnym echem odbiły się w murach Uniwersytetu *Sacro Cuore* protesty studenckie z 1968 r. Wydarzenia z tego czasu w uniwersytecie nie



Jeden z krużganków

ograniczyły się wyłącznie do manifestowania niezadowolenia przez młodzież akademicką, lecz powstawały tam pomysły ideologiczne, zyskujące poparcie ze strony uniwersytetu *Sacro Cuore*. Wpływały one z klimatu posoborowego i związanej z tym dezorientacji świata katolickiego, a także z bieżących napięć politycznych. Za czasów rektora Giuseppe Lazzati (1968–1983) nastąpił pewien kryzys uniwersytetu, wyrażający się spadkiem liczby studentów i szerzeniem się w uczelni poglądów nie zawsze jednoznacznych z duchem katolickim. Wtedy to w środowisku uniwersyteckim dojrzewał i umacniał się

młodzieżowy ruch studencki zainspirowany przez księdza Luigi Giussani, który dał początek pierwszym grupom *Comunione Liberazione*.

Sposób kierowania uniwersytetem przez rektora Lazzati nie był przez wszystkich akceptowany. Jego zachowanie w stosunku do najbardziej radykalnych protestów studenckich, wysuwane przez niego inicjatywy kulturalne promujące lewicowych katolików, budziły niepokój i sprzeciw w rzymskich i mediolańskich środowiskach kościelnych, a także wśród grupy miejscowych profesorów. To oni wypracowali alternatywną koncepcję kierowania uniwersytetem, doprowadzając w 1983 r. do wyboru nowego rektora, którym został z poparciem władz watykańskich Adriano Bausola. Okres rządów tego rektora i jego następców zapoczątkował spokojny i dynamiczny rozwój uniwersytetu, trwający aż do czasów obecnych. Obecnie uniwersytet, ulokowany w zabudowaniach dawnego klasztoru augustiańskiego, posiada 14 wydziałów, a funkcję rektora pełni prof. Franco Anelli. Za kilka lat Uniwersytet *Sacro Cuore*, na którym w 2007 r. naukę pobierało 42 000 osób, będzie mógł świętować, podobnie jak i nasza *Alma Mater*, stuletnią rocznicę swoich narodzin. Być może nadarzy się wtedy okazja, by wspólnie obchodzić ten jubileusz.



M. Surdacki na dziedzińcu uniwersytetu

Pomimo zbliżonej historii i wspólnej formacji ideologicznej, dotychczasowe kontakty naukowe Uniwersytetu *Sacro Cuore* w Mediolanie i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego były skromne, nieproporcjonalne do rangi naukowej obu ośrodków. Opinii tej nie mogą podważyć odbywane od lat 80. XX w. sporadyczne wyjazdy naszych młodszych pracowników naukowych na stypendia do mediolańskiej uczelni. Znakomitą okazję do nawiązania ściślejszej współpracy i wymiany stanowi program *Erasmus*. Korzystając z ubiegłorocznego pobytu w ramach tego programu, w Instytucie Pedagogiki prof. Giuseppe Mari i na jego imienne zaproszenie, miałem okazję w ramach rewizyty gościć w mediolańskim uniwersytecie w dniach 20–24 kwietnia 2015 r.

Wizytę moją zapraszający potraktowali bardzo serio, wyznaczając mi 10 godzin wykładów w grupach liczących od 40 do 90 osób, na różnym stopniu studiów (I, II, III stopnia, podyplomowe) na kierunkach pedagogiki (nauk

o wychowaniu) i socjologii. Problematyka wykładów, przeprowadzonych na zajęciach profesorów Giuseppe Mari, Marisa Musaio i Simonetta Polenghi, dotyczyła historii dobroczynności i opieki społecznej w Europie i Polsce oraz opieki nad dziećmi porzuconymi w Rzymie i Państwie Kościelnym. Odbiór przekazywanych treści był wręcz entuzjastyczny. Szczególnie zaskoczyła mnie postawa studentów wychowania fizycznego, wysportowanych, o atletycznej budowie. Było wręcz „szokujące”, jak ci sportowcy, przyszli trenerzy i nauczyciele wychowania fizycznego, w skupieniu przeplatanych refleksyjnymi pytaniami chłonili informacje o dobroczynności, którą aż do Oświecenia organizował i inspirował przede wszystkim Kościół. Bardzo za te zajęcia dziękował na oficjalnym spo-



Prof. Surdacki i Giuseppe Mari podczas wykładu ze studentami nauk o wychowaniu

tkaniu prof. Mari, który stwierdził, że wobec ogromnego złaicyzowania studentów, niewiele mających wspólnego z życiem Kościoła i wiarą, tego typu wiedza stanowi dla nich znakomity i autentyczny sposób ewangelizacji. Faktycznie po wykładach studenci spontanicznymi brawami wyrazili swe zadowolenie i prosili o przesłanie materiałów z wygłoszonych tematów, co niebawem uczyniłem.

Podczas pobytu na Uniwersytecie *Sacro Cuore* zostałem podjęty oficjalnym obiadem, w którym uczestniczyli wymienieni wyżej profesorowie, zostałem również przyjęty przez dziekana Wydziału Nauk o Wychowaniu (*Facoltà di Scienze della Formazione*) a zarazem dyrektora Instytutu Pedagogiki prof. Luigi Pati oraz współpracującego z Polską prof. Andrea Ciampani. Ponadto obdarowano mnie licznymi wydawnictwami, których problematyka dotyczy wspólnych zainteresowań i badań naukowych. Bezpośrednim wynikiem wymienionej wizyty jest spodziewany jeszcze tej jesieni przyjazd na wykłady *Erasmusa* prof. Marisy Musaio oraz nieco później prof. Simonetty Polenghi. Dostałem też propozycję regularnego publikowania swych artykułów w prestiżowych czasopismach i wydawnictwach. Przy okazji miałem okazję dokładnie zwiedzić Mediolan, przygotowujący się w owym czasie do wystawy EXPO. Mogłem też przeżywać mistyczne spotkanie z wielkim Ojcem Kościoła św. Ambrożym, o którym mówiłem włoskim studentom w kontekście dokonanych przez niego dzieł miłosierdzia.



Spotkanie z prof. Luigi Pati – dziekanem Wydziału Nauk o Wychowaniu



Marian Surdacki na placu przed katedrą w Mediolanie

Doskonale zachowane relikwie w złotym oszklonym sarkofagu, przechowywane w bazylice pod jego wezwaniem, sąsiadującej bezpośrednio z Uniwersytetem *Sacro Cuore*, posiadają wymowną symbolikę, dodają tamtejszej uczelni dodatkowej monumentalności (oprócz samych budynków) i prestiżu oraz świadczą o jej chrześcijańskiej tożsamości.

spłacam dług wdzięczności za to, że mogłem u nich się kształcić i prowadzić badania naukowe. Uważam, że w dzisiejszych realiach wymiana naukowa jest fundamentalnym warunkiem i podstawą rozwoju nauki oraz propagowania i rozślawiania środowiska uniwersyteckiego, z którego się wywodzimy.

Jestem przekonany, że wizyta w bratnim uniwersytecie mediolańskim stanowić będzie początek intensywnej współpracy i wymiany naukowej, którą powinno się rozszerzyć podpisaniem odpowiednich umów *Erasmusa* dla kilku innych kierunków studiów. Mam poczucie, że dobrze spełniłem swą misję, stając się przez kilka dni godnym „ambasadorem” polskiej nauki i mojego Uniwersytetu, z którym na dobre i złe jestem związany od dokładnie czterdziestu lat, i który zawsze umożliwiał mi liczne staże i stypendia we Włoszech. Dzieląc się z młodymi włoskimi przyjaciółmi wiedzą, zdobytą w czasie tych wyjazdów,

Teresa Kaźmierak

Partnerska wizyta w mieście Nádudvar na Węgrzech

W dniach 25–28 września 2015 r. trzydziestosiedmioosobowa grupa uczniów z ZSO w Urzędowie i ZS w Skorczycach wraz z opiekunami przebywała z partnerską wizytą na Węgrzech w zaprzyjaźnionym mieście Nádudvar. Dwa tygodnie wcześniej młodzież z Węgier poznawała uroki ziemi urzędowskiej. Uczestniczyli oni w uroczystościach dożynkowych, uświetniając je swoimi występami tanecznymi.

Wyjazd młodych ludzi odbył się na zaproszenie władz miasta Nádudvar w ramach realizowanego przez Szkołę Zawodów Rękodzieła Ludowego programu kulturalnego polsko-węgierskiego.



Węgrzy przygotowali wspaniałą, atrakcyjny i urozmaicony program. Niezwykła gościnność gospodarzy i wielkie zaangażowanie pracowników Urzędu Miasta i Domu Kultury w Nádudvarze sprawiły, że było to wzruszające i niezapomniane wydarzenie. Taka międzynarodowa wymiana młodzieży to okazja do tego, by wymieniać poglądy na różnorodne tematy, poznawać kulturę i zwyczaje sąsiadów, a także posmakować ich kulinarnych specjalów.

Każdy dzień pobytu w Nádudvarze był pracowity, wyjątkowy i pełen wrażeń. Pierwszego dnia młodzież miała możliwość zapoznania się z historią, urokami i dziedzictwem kul-

turowym Nádudvaru, a także uczestniczenia w warsztatach rzemieślniczych w Szkole Zawodów Rękodzieła Ludowego. We wspaniale urządzonej pracowni pod okiem węgierskich mistrzów poznawali tajniki różnych zawodów artystycznych. Była to okazja do zdobycia wielu ciekawych i wspaniałych umiejętności. Uczniowie próbowali swoich sił na kołach garncarskich. Spod ich rąk pod kierunkiem najlepszych fachowców wychodziły piękne, wydawałoby się niemożliwe do wykonania ręcznie, prawdziwe arcydzieła. W innej pracowni przy użyciu filcu, mydła i wody tworzyli piękne, kolorowe kwiaty, które zabrali ze sobą do Polski. Wieczorem w sali widowiskowej Domu Kultury odbyły się pokazy artystyczne. Na scenie wystąpiły zespoły prezentujące regionalne i współczesne



tańce węgierskie oraz artyści grający na cytrach. Nasza młodzież również przygotowała program artystyczny i zaprezentowała swoje zdolności i umiejętności. Zatańczyli na scenie tańce narodowe i regionalne. Uczennica Aleksandra Surdacka zaśpiewała piosenkę *Lipka*. W ten piękny sposób przedstawili kulturę i tradycje naszego kraju i regionu. Występy naszych uczniów spotkały się z dużym uznaniem strony węgierskiej. Wieczorem wszyscy bawili się wspólnie w dyskotekę.

Kolejny dzień również był pełen wrażeń. Grupa została zaproszona do warsztatu Istvana Fazekasa – garncarza,

który niejednokrotnie uczestniczył w warsztatach garncarskich w Urzędowie. Z wielką pasją opowiadał on o pracy w tym zawodzie, prezentując wspaniałe zbiory muzeum rodzinnego.

Niezapomnianą atrakcją w tym dniu była również wizyta w stadninie koni „David” na peryferiach miasta. Chętni próbowali swoich sił w siodle. Popołudnie tego dnia uczniowie spędzili w kompleksie basenów termalnych. I chociaż pogoda nie rozpieszczała, kąpiel w ciepłych wodach była wyjątkową przyjemnością. Wieczorem w Centrum Sportowym Miasta młodzież korzystała ze wspaniałego sprzętu sportowego w zależności od zainteresowań i ochoty.

Ostatniego dnia pobytu na Węgrzech, w poniedziałek, nasza młodzież miała okazję obserwować poczynania uczniów podczas zajęć praktycznych i podziwiać ich zdolności artystyczne.

Czas spędzony w Nádudvarze upłynął bardzo szybko, pozostawiając niezapomniane wrażenia, które na długo pozostaną w pamięci tych młodych ludzi. Gospodarze węgierscy okazali naszym uczniom dużo serdeczności, zainteresowania i przyjaźni. Zadbali o miłą i serdeczną atmosferę. Konfrontacja z językiem węgierskim wymuszała na uczniach komunikację w języku angielskim i niemieckim. Zatem był to dobry czas na poszerzenie i ćwiczenie umiejętności językowych.



Na spotkaniu pożegnalnym padło wiele miłych i ciepłych słów pod adresem naszej młodzieży. Każdy uczestnik otrzymał pamiątkowy upominek w postaci glinianego kubka z pracowni Ferenca Fazekasa – garncarza, który jest jednym z najlepszych mistrzów na Węgrzech w tym rzemiośle i który od kilkunastu lat uczestniczy w warsztatach garncarskich w Urzędowie. Młodzież nasza również podziękowała stronie węgierskiej za zaproszenie i serdeczne przyjęcie. W dowód wdzięczności i sympatii, na ręce pani dyrektor szkoły złożyli koszt pełen słodczy z Polski.

Wszyscy wrócili do swoich domów pełni wrażeń i miłych wspomnień, wzbogaceni o kolejne doświadczenia. Należy podkreślić, że dla młodych ludzi był to wyjątkowy czas, który długo będą wspominać. Wyjeżdżali z nadzieją na kolejne spotkanie w tym pięknym mieście Nádudvar.



Halina Wyka, Roman Surdacki

Uroczystości na Kahlenbergu związane z Narodowym Świętem Niepodległości

„Naród, który nie szanuje swej przeszłości nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości”

Józef Piłsudski

W dniu 8 listopada 2015 r. w Sanktuarium Narodowym na wzgórzu Kahlenberg, położonym na terenie Lasu Wiedeńskiego oraz dziewiętnastej dzielnicy Wiednia, odbyły się uroczystości rocznicowe związane z ponownym odsłonięciem 9 listopada 2014 r. odrestaurowanej tablicy pamiątkowej ku czci Marszałka Józefa Piłsudskiego. Tablica została umieszczona na fasadzie przy głównym wejściu do Sanktuarium obok już istniejących tablic Jana III Sobieskiego i św. Jana Pawła II w tym samym miejscu, w którym umieszczona została w 4. rocznicę śmierci Marszałka 12 maja 1939 r.



Zgodnie z uchwałą Zarządu Krajowego Związku Piłsudczyków Rzeczypospolitej w porozumieniu z Ambasadą RP w Wiedniu uroczystości dla uczczenia Święta Niepodległości będą się tam odbywały każdego roku. W tegorocznych uroczystościach, oprócz zaproszonych gości, m.in. ambasadora RP w Wiedniu Artura Lorkowskiego, Polonii austriackiej, wzięła udział liczna grupa umundurowanych Piłsudczyków z całej Polski na czele z gen. Związku Stanisławem Władysławem Śliwą – prezesem Zarządu Krajowego Związku Piłsudczyków RP oraz przedstawiciel Związku Piłsudczyków RP Oddział w Malmö płk. Związku Władysław Wojtyła. Okręg Kraśnicki Związku reprezentowała 13-osobowa delegacja pod dowództwem gen. bryg. Związku Jerzego Cichockiego. W uroczystości uczestniczyli także mieszkańcy Jordanowa, którzy towarzyszyli dwóm, wywodzącym się z tej miejscowości, fundatorom i wykonawcom pomnika „Polakom poległym w bitwie pod Wiedniem”, który został w tym dniu odsłonięty. Pomnik – ustawiony na postumencie krzyż pod husarskim skrzydłem – został poświęcony przez biskupa seniora Mariana Błażeja Kruszyłowicza z archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej. Odsłonięcie po-

mnika poprzedziło mszę św., którą celebrował kapelan Związku Piłsudczyków RP gen. bryg. Związku ks. infułat Marian Próchniak w asyście dziewięciu księży.

Po mszy św. pod tablicą upamiętniającą pierwszego marszałka Polski złożono kwiaty, a następnie odbyła się dalsza część uroczystości, podczas której wygłoszono okolicznościowe przemówienia, oraz wręczone zostały medale i odznaczenia. Jednym z odznaczonych był członek Związku, mieszkaniec Urzędowa, płk. Związku Roman Surdacki, który z rąk prezesa Związku Piłsudczyków RP otrzymał ryngraf od Urzędu Morskiego w Gdyni za ufundowanie i wykonanie tablicy upamiętniającej bohaterskie dokonania marynarzy polskiej marynarki handlowej w latach 1939–1945.

Z inicjatywy płk. Związku Władysława Wojtyły, uczestniczące w uroczystości pary małżeńskie uhonorowane zostały medalem Świętego Jana Pawła II. Zaszczytu tego dostąpili między innymi Irena i Roman Surdaccy oraz Halina i Tomasz Wyka.

